

Prawdziwy przyjaciel

Oskar Wilde



calibre 0.9.27

PRAWDZIWY PRZYJACIEL

Oskar Wilde

Pewnego razu stary szczur wodny wystawił głowę ze swej dziury. Miał duże krągłe oczy i szorstkie siwe bokobrody, a ogon podobny do podłużnego kawałka czarnej gumy. Właśnie pływały po stawie młode kaczęta, wyglądające jak stado żółtych kanarków, a matka ich, całkiem biała, o prawdziwie czerwonych nogach, uczyła je stawać na głowie.

— Nigdy się nie dostaniecie do dobrego towarzystwa, dopóki nie nauczycie się stać na głowie — mówiła do nich niezliczone razy pokazując, jak się to robi. Ale pisklęta nie zwracały na nią uwagi. Były tak młode, że wcale nie rozumiały, co to za korzyść należeć do dobrego towarzystwa.

— Jakie nieposłuszne dzieci! — krzyknął stary szczur. — Zasługują doprawdy, by je potopić.

— Wcale nie — odparła kaczka — każdy początek jest trudny, a rodzice nie mogą nigdy być dość cierpliwi.

— Ach! Nie znam zupełnie tych uczuć rodzicielskich — rzekł stary szczur — bo nie mam rodziny. Istotnie, nigdy nie byłem żonaty i nigdy też nie myślę się żenić. Miłość jest wcale dobrą rzeczą, ale przyjaźń jest znacznie wznioślejsza. Zaprawdę, nie znam na świecie nic równie szlachetnego i wzniosłego, jak prawdziwa przyjaźń.

— A jakież, proszę, są twoje pojęcia o obowiązkach prawdziwej przyjaźni? — zagadnęła zielona makolągwa, która siedząc na pobliskiej wierzbie, słyszała poprzednią rozmowę.

— Tak, tego właśnie i ja pragnęłabym się dowiedzieć — rzekła kaczka i przypłynąwszy nad brzeg stawu, stanęła na głowie, aby dzieciom swym dać dobry przykład.

— Co za głupie pytanie! — krzyknął szczur. — Oczywiście, że od przyjaciela wymagałbym, aby się dla mnie poświęcał.

— A jakim byłbyś ty względem niego? — spytał ptaszek kołysząc się na srebrnej gałązce i trzepocząc skrzydełkami.

— Nie rozumiem twego pytania — odparł szczur.

— Więc pozwól, a opowiem ci historię na ten temat — rzekła makolągwa.

— Czy ta historia mnie dotyczy? — spytał szczur. — Jeśli tak, to chętnie posłucham, gdyż nadzwyczajnie lubię opowiadania.

— Da się do ciebie zastosować — odparła makolągwa i, sfrunawszy z gałązki, usiadła nad brzegiem stawu i opowiedziała historię o prawdziwym przyjacielu.

— Razu pewnego — poczęła makolągwa — żył sobie poczciwy chłopiec, Janek.

— Czy był bardzo zdolny? — spytał szczur.

— Nie — odparła makolągwa. — Nie sędzę, aby posiadał jakiegokolwiek wybitne zdolności, bo odznaczał się tylko dobrym sercem i wesołą, krągłą, zawsze pogodną twarzą. Mieszkał w mizernej chałupce, sam jeden i po całych dniach pracował w swym ogrodzie. Ale też w całej okolicy nie było ogrodu równie uroczonego. Rosły tam stokrotki i lewkonie, wiosnowki i śniegułki. Kwitły róże damasceńskie i żółte róże, krokusy liliowe i złote, fiołki ciemne i białe. Ostróżki kwitły i powoje, majeranek i wonne bazylie, białe lilie i pry mulki, narcyzy i goździki — wszystkie kwitły kolejno w odpowiedniej porze, jedno po drugim, tak że zawsze ogród przedstawiał się pięknie i miłe wokół siebie roztaczał wonie.

Janek miał wielu przyjaciół, ale najserdeczniejszym ze wszystkich był Hugo, młynarz. Istotnie, bogaty młynarz tak bardzo był dlań serdeczny, że zawsze przechodząc koło jego ogrodu pochylał się przez parkan i zrywał dużą wiązankę kwiatów lub pęk jarzyn albo napełniał sobie kieszenie śliwkami lub wiśniami, zależnie od pory roku.

„Prawdziwi przyjaciele powinni mieć wszystko wspólne” — zwykł był powtarzać młynarz, a Janek potakiwał i uśmiechał się, dumny, że ma przyjaciela

o tak szlachetnych przekonaniach.

Czasami, co prawda, sąsiedzi bardzo się dziwili, że bogaty młynarz niczym się nie odwzajemnia Jankowi, pomimo że w młynie miał setki worów pełnych mąki i sześć dojnych krów, i całe stado wełnistych owiec. Janek jednak nigdy nie zadawał sobie podobnych pytań i nic mu nie sprawiało takiej rozkoszy jak przysłuchiwanie się tym cudownym uwagom, jakie młynarz wygłaszał o bezinteresowności prawdziwej przyjaźni.

Poza tym ciągle pracował w swym ogrodzie. Podczas wiosny, lata i jesieni czuł się bardzo szczęśliwy, ale gdy zima nadeszła i nie miał kwiatów ni owoców, by je wynosić na targ, nieraz cierpiał wtedy od głodu i chłodu i często udawał się na spoczynek bez kolacji, posiliwszy się paru suchymi gruszkami i twardymi orzechami. Przy tym był też przez całą zimę bardzo osamotniony, gdyż młynarz nigdy go wtedy nie odwiedzał.

„Nie powinienem odwiedzać Janka, dopóki śnieg leży — mawiał młynarz do swej żony — albowiem ludzi strapionych należy pozostawiać samych, a nie naprzykrzać się wizytami. Takie jest przynajmniej moje zapatrywanie na przyjaźń i jestem pewny, że mam słuszość. Wolę przeto zaczekać do wiosny, wtedy go odwiedzę i przyjmę od niego duży koszyczek pierwiosnków, czym mu wielką sprawię przyjemność.”

„Doprawdy, jak ty zawsze myślisz i troszczysz się o innych — odparła żona siedząc wygodnie w dużym fotelu, przy trzaskającym na kominku ogniu. — To rozkosz prawdziwa słyszeć cię mówiącego o przyjaźni. Jestem pewna, że sam pastor nie powiedziałby tak pięknych rzeczy, pomimo że mieszka w domu trzypiętrowym i nosi złoty pierścień na małym palcu.”

„Ale czy nie moglibyśmy zaprosić Janka do nas? — zagadnął najmłodszy synek młynarza. — Skoro Janek jest teraz w biedzie, to ja odstąpię mu połowę mej zupy i pokażę białe króliki.”

„Jakiż z ciebie głuptas! — krzyknął młynarz. — Nie wiem istotnie, po co cię posyłam do szkoły. Zdaje się, że wcale tam nie korzystasz. Jak to, więc nie wiesz, że gdyby Janek tu przyszedł i zobaczył nasz ogień na kominku i smaczną kolację, i dużą beczkę czerwonego wina, musiałby uczuć zazdrość, a zazdrość jest uczuciem strasznym, mogącym wypaczyć najlepszą nawet naturę. A ja absolutnie nie dopuszczę, by natura Janka została wypaczona. Jestem najlepszym jego przyjacielem i zawsze będę czuwał, by nie był narażony na zgubne pokusy. Zresztą, gdyby Janek tu przyszedł, mógłby też zażądać, bym mu dał trochę mąki na kredyt, a tego uczynić bym nie mógł. Mąka co innego, a przyjaźń także co innego, i nigdy nie należy brać jedno za drugie. Tak, to zupełnie różne słowa i różne też mają znaczenie. Każdy to zrozumie.” „Jak ty świetnie mówisz! — ozwała się żona nalewając sobie szklankę gorącego piwa —doprawdy, czuję, że ogarnia mnie senność. Tak jakbym była w kościele.”

„No tak — odparł młynarz — bardzo wielu ludzi postępuje dobrze, ale bardzo niewielu umie dobrze mówić, z czego wynika, że mówienie jest rzeczą trudniejszą i bardziej wytworną.” Co powiedziawszy, rzucił surowe spojrzenie na najmłodszego synka, który uczuł się tak zawstydzony, że zwiesił głowę i oblał się purpurowym rumieńcem, wreszcie rozsłochał nad swą herbatą. Był jednak tak młody, że należy go usprawiedliwić.

— Czy to już koniec historii? — spytał szczur.

— Skądże! — oburzyła się makolągwa — to dopiero początek.

— W takim razie jesteś bardzo zadowolona — rzekł szczer. — Każdy dobry nowelista zaczyna teraz swoje opowiadanie od końca, doprowadza je do początku, a zakańcza w środku. Tak nakazuje nowa metoda. Dużo o tym słyszałem tymi dniami od pewnego krytyka, który przechadzał się z jednym młodzieńcem dokoła stawu, rozmawiając o tej kwestii. Jestem przekonany, że miał słusność, nosił bowiem błękitne okulary i miał dużą łysinę, a ilekroć młodzieniec robił jakąś uwagę, krytyk odpowiadał: phi! Ale proszę, opowiadaj dalej swą historię. Niezmiernie mi się podoba ten młynarz. Ja sam posiadam mnóstwo pięknych przymiotów i dlatego tak wielką dla niego odczuwam sympatię.

— Otóż — mówiła dalej makolągwa przestępując z nóżki na nóżkę — skoro tylko zima minęła i wiosna zaczęła otwierać swe blade gwiazdki, młynarz oznajmił swej żonie, że pójdzie odwiedzić Janka.

„Jakie ty masz dobre serce! — wykrzyknęła żona. — Ustawicznie myślisz tylko o drugich. A nie zapomnij zabrać z sobą dużego kosza na kwiaty.”

Więc młynarz związał skrzydła wiatraka silnym łańcuchem żelaznym i wyszedł z domu z dużym koszem w ręku.

„Dzień dobry, Janku” — przywitał młynarz przyjaciela.

„Dzień dobry” — odpowiedział Janek, wsparty na łopacie, śmiejąc się radośnie od ucha do ucha.

„I jakże ci się wiodło przez zimę?” — spytał młynarz.

„Ach, istotnie! — wykrzyknął Janek — jakże jesteście dobrzy, że się o to pytacie. Niestety, dosyć źle mi się wiodło, ale na szczęście nadeszła już wiosna, jestem znów wesół i wszystkie moje kwiaty dobrze się rozwijają.”

„Często o tobie mówiliśmy tej zimy — powiedział młynarz — i zastanawialiśmy się, jak sobie dajesz radę.”

„To bardzo ładnie z waszej strony — radośnie zawołał Janek — obawiałem się bowiem, żeście o mnie zapomnieli.”

„Janku, jestem zdumiony! — odparł młynarz — Przyjaźń nie zna zapomnienia. To właśnie stanowi największy jej urok. Ale boję się, czy ty w ogóle rozumiesz poezję życia. Śliczne atoli, widzę, masz wiosny!”

„Naprawdę są bardzo ładne, i szczęście dla mnie, że tyle ich zakwitło — odparł Janek. — Właśnie zamierzam je zerwać i sprzedać w mieście córce burmistrza, a za te pieniądze odkupić taczkę.”

„Odkupić taczkę! Wszak nie chcesz przez to powiedzieć, że ją sprzedałeś? Byłoby to wielkim głupstwem z twojej strony!”

„Tak — przyznał Janek — byłem jednak zmuszony to uczynić. Bo wiecie, zima ta była dla mnie bardzo ciężka i nie miałem za co kupić kęsa chleba. Więc naprzód sprzedałem srebrne guziki od mej odświętnej ka poty, następnie srebrny łańcuszek, później dużą fajką, a wreszcie zmuszony byłem sprzedać taczkę. Ale teraz wszystko to odkupię z powrotem.”

„Janku — rzekł młynarz — ja ci odstąpię moją taczkę. Wprawdzie w niezbyt dobrym jest stanie, jedna strona całkiem odpadła i kółka także połamane, ale mimo tego ofiaruję ci ją. Wiem, że to z mej strony bardzo wspaniałomyślnie i niejeden będzie mnie z tego powodu uważał za głupca, ale ja nie jestem jak inni ludzie. Moim zdaniem, wspaniałomyślność jest istotą przyjaźni, zresztą dla siebie kupiłem już nową taczkę. Tak, możesz być co do tego całkiem spokojny — dostaniesz moją taczkę.”

„Tak, istotnie, to bardzo wspaniałomyślnie z waszej strony! — wykrzyknął Janek, a jego krągła, pogodna twarz zapłonęła radością. — Ja z łatwością naprawię tę taczkę, bo właśnie mam w domu nową deskę.”

„Nową deskę! — krzyknął młynarz — właśnie tego mi potrzeba do naprawy dachu na stodole. Ogromna się w nim zrobiła dziura, i zboże całkiem mi zamoknie, jeśli jej nie naprawię. Jak to dobrze, że mi o tym przypomniałeś! Dziwne zaiste, jak jeden dobry czyn natychmiast wywołuje drugi. Ja ci dałem taczkę, a ty zaraz obdarzasz mnie deską. Wprawdzie taczka znacznie większą ma wartość niż deska, lecz prawdziwa przyjaźń nie zważa na takie drobnostki. Proszę cię, daj mi zaraz tę deskę, a jeszcze dziś zabiorę się do roboty.”

„Zgoda!” — wykrzyknął Janek, natychmiast biegnąc po deskę.

„Niezbyt wielka ta twoja deska — rzekł młynarz obejrzawszy ją — i zdaje mi się, że po naprawieniu dziury w moim dachu nic chyba nie zostanie do naprawy taczki, ale przyznasz, że to już nie moja wina.

A teraz, skoro ja ci przyrzekłem taczkę, sądzę, że w zamian ty mi dasz trochę kwiatów. Oto kosz, i sądzę, że mi go napełnisz.”

„Mam go napełnić?” — spytał Janek mocno zakłopotany. Kosz bowiem był bardzo duży, i biedny

chłopak wiedział, że jeśli go napełni, nie będzie już miał żadnych kwiatów do sprzedania, a tak bardzo pragnął odzyskać swe srebrne guziki.

„Oczywiście! — odparł młynarz. — Przyznasz przecie, że za taczkę mogę chyba żądać od ciebie trochę kwiatów. Może się mylę, ale, moim zdaniem, przyjaźń winna być wolna od wszelkiego egoizmu.”

„Mój drogi przyjacielu! — wybuchnął Janek. — Z chęcią oddaję wam wszystkie kwiaty z mego ogrodu. Więcej mi zależy na waszym dobrym mniemaniu niż na odzyskaniu kiedykolwiek tych guzików.” I co prędzej pomknął w głąb ogrodu, zerwał wszystkie pierwiosnki i napełnił nimi kosz młynarza.

„Do widzenia, Janku!” — żegnał go młynarz odchodząc w stronę wzgórza z deską na ramieniu i dużym koszem kwiatów w ręku.

„Do widzenia!” — odparł Janek, zwawo zabierając się znów do roboty, tak był uradowany taczką.

Nazajutrz zajęty był przywiązywaniem opadających pędów bluszczu nad bramą, gdy usłyszał głos młynarza, który go wołał po imieniu. Zbiegł więc szybko z drabiny i przez parkan wyjrzał na ulicę.

Istotnie zobaczył młynarza, dźwigającego na plecach ogromny wór mąki.

„Mój drogi Janku — rzekł młynarz — czy nie zechciałbyś odnieść do miasta tego wora mąki?”

„Och, bardzo mi przykro — począł Janek — ale doprawdy jestem dziś ogromnie zajęty w ogrodzie. Postanowiłem przywiązać wszystkie pnącze i podlać kwiaty, i skosić trawę.”

„Tak — odparł młynarz — ale wobec tego, że ja ci dałem taczkę, nieuprzejmie to z twojej strony odmawiać mi drobnej przysługi.”

„Ach, nie mówcie tak! — zawołał Janek. — Ja dla wszystkich pragnąłbym być uprzejmy.” I chwyciwszy czapkę, wziął na ramiona ciężki wór i powlókł się z nim w stronę miasta.

Dzień był bardzo skwarny, a droga tak pełna kurzu, że zanim Janek przebył sześć mil, uczył się strasznie znużony i musiał usiąść i wypoczywać. Przewyciężył się jednak i ostatecznie dotarł do miasta. Sprzedawszy mąkę po bardzo dobrej cenie, spieszenie wracał do domu, gdyż obawiał się, że w nocy mogliby go napaść rabusie.

„Ciężki miałem dzień — mówił do siebie Janek udając się na spoczynek. — Jestem jednak zadowolony, że nie odmówiłem młynarzowi, który jest przecież najlepszym moim przyjacielem, a oprócz tego darował mi jeszcze taczkę.”

Nazajutrz wczesnym rankiem młynarz przybiegł, by odebrać pieniądze za wór mąki, ale Janek był tak zmęczony, że leżał jeszcze w łóżku.

„Dalibóg! — zawołał młynarz — widzę, że jesteś bardzo leniwy. Mając zamiar obdarzyć cię taczką, sądziłem istotnie, że energiczniej umiesz pracować. Lenistwo jest wielkim grzechem, i nie znoszę, aby którykolwiek z mych przyjaciół był opieszawy lub niedbały. Nie powinno cię dziwić, że mówię z tobą tak otwarcie. Nie przyszłoby mi do głowy postępować w ten sposób, gdybym nie był twym przyjacielem. Ale jakaż byłaby korzyść z przyjaźni, gdyby nie można było mówić otwarcie, co się myśli? Każdy może prawić komplementy i schlebiać, i starać się przypodobać, ale prawdziwy przyjaciel zawsze mówi nieprzyjemne prawdy i nie waha się sprawić przy krości. I jeśli jest prawdziwie szczerym przyjacielem, to woli nawet tak postępować wiedząc, że wówczas postępuje dobrze.”

„Bardzo mi przykro — usprawiedliwiał się Janek przecierając oczy i zrywając z głowy szlafmycę — ale byłem ogromnie znużony, więc postanowiłem poleżeć dziś trochę dłużej w łóżku i słuchać śpiewu ptaków. Czy wiecie, że ilekroć słucham śpiewu ptaków, lepiej następnie pracuję?”

„Bardzo mnie to cieszy — szybko odparł młynarz klepiąc Janka po ramieniu — bo właśnie chcę cię zabrać z sobą, skoro tylko się ubierzesz, abyś mi naprawił dziurę w dachu.”

Biednemu Jankowi bardzo było spieszo do roboty w ogrodzie, gdyż kwiaty już od dwóch dni nie były podlane, nie śmiał jednak odmówić młynarzowi — tak dobremu swemu przyjacielowi.

„A czy uważalibyście za nieuprzejmość, gdybym odpowiedział, że jestem dziś ogromnie zajęty?” — badał cicho i nieśmiało.

„Oczywiście — odparł młynarz. — Sądzę, że niewiele chyba żądam od ciebie wobec tego, że zamierzam ci odstąpić taczkę, ale skoro odmawiasz, to zaraz stąd odejdę i sam naprawię dziurę w dachu.”

„Ach! przenigdy!” — krzyknął Janek i wyskoczywszy z łóżka, śpiesznie się ubrał i poszedł do stodoły młynarza.

Pracował cały dzień aż do zachodu słońca, a wtedy przyszedł doń młynarz, by zobaczyć, jak mu idzie

roboty.

„I cóż, Janku, czy dach już naprawiony?” — spytał przyjaźnie.

„Tak, właśnie skończyłem” — odparł Janek schodząc na dół po drabinie.

„Ach! — rzekł młynarz — żadna praca nie daje tyle zadowolenia, jak ta, którą spełniamy dla innych.”

„To prawdziwa rozkosz słuchać, jak tak ładnie mówicie. — odparł Janek siadając i ocierając pot spływający mu strugami z czoła — ogromna rozkosz. Ale obawiam się, że ja nigdy nie będę miał tak pięknych myśli.”

„Ach! nabędziesz je z czasem — uspokajał młynarz, — Tylko oczywiście, musisz sobie zadawać więcej trudu niż dotychczas. Teraz uczysz się dopiero praktycznej strony przyjaźni, kiedyś przyswoisz sobie także teorię.”

„Czy naprawdę sądzicie, że ją sobie kiedyś przyswoję?” — pytał Janek,

„Bez wątpienia! — potwierdził młynarz. — Ale teraz, skoro już dach naprawiony, najlepiej będzie, gdy pójdziesz do domu i wypoczniesz. Jutro bowiem, wczesnym rankiem musisz mi wygnać owce na pastwisko.”

Janek nie miał odwagi cokolwiek odpowiedzieć, a nazajutrz wczesnym rankiem młynarz stał już przed jego chałupą z dużym stadem owiec, z którym Janek niebawem ruszył w góry. Strawił cały dzień na wypędzaniu owiec na paszę i zapędzaniu ich napowrót do obory, a gdy wieczorem wrócił do swojej izdebki, był tak znużony, że zasnął na krześle i zbudził się dopiero nad ranem.

„Śliczną będę dziś miał pogodę” — rzekł do siebie, szybko zabierając się do roboty w ogrodzie.

Wszelako nigdy już nie miał czasu zająć się naprawdę kwiatami, gdyż młynarz co dnia wysyłał go za swymi sprawami do miasta lub posługiwał się nim przy młynie. Biedny Janek był chwilami bardzo strapiiony i obawiał się, czy jego kochane kwiaty nie pomyślą, że o nich zapomniał, pocieszał się tylko tym, że młynarz jest jednak najlepszym jego przyjacielem. „Zresztą — powtarzał sobie — daje mi taczkę, a to już dowodzi czystej wspaniałomyślności.”

Tak więc Janek dalej pracował dla młynarza, a młynarz mówił rozmaite piękne rzeczy o przyjaźni, które Janek notował w notatniku i odczytywał wieczorem, będąc bardzo obowiązkowym uczniem.

Pewnego wieczora zdarzyło się, że Janek siedział właśnie przed kominkiem, na którym płonęły drzazgi, gdy za drzwiami rozległo się głośne pukanie. Noc była bardzo burzliwa, a wiatr tak świszczął i wył straszliwie, że w pierwszej chwili Janek pomyślał, iż to wiatr tak trzaska drzwiami. Niebawem jednak pukanie ozwało się po raz drugi i trzeci, silniejsze niż poprzednio. „Zapewne jakiś biedny podróżny” — pomyślał Janek biegnąc ku drzwiom. Otworzywszy je, ujrzał młynarza z latarnią w jednej, a dużą laską w drugiej ręce.

„Mój drogi Janku — zawołał młynarz — jestem w wielkim kłopotcie. Mój najmłodszy syn spadł z drabiny i potłukł się tak mocno, że muszę wezwać lekarza. Ale on mieszka daleko, przy tym noc taka okropna; i właśnie mi przyszło do głowy, że lepiej będzie, jeśli ty pójdziesz zamiast mnie. Wiesz przecie, że ci oddam taczkę, więc jest rzeczą słuszną, byś się w jakikolwiek sposób odwzajemnił.”

„Naturalnie! — żywo potwierdził Janek. — Uważam to za zaszczyt dla siebie, że do mnie się zwracacie, i natychmiast ruszam w drogę. Tylko musicie mi pożyczyć swej latarni, bo noc jest tak ciemna, że mógłbym wpaść do rowu.”

„Bardzo mi przykro — odparł młynarz — ale ta jest nowa latarnia, i wielka byłaby szkoda, gdyby się zepsuła.”

„W takim razie obejdę się bez niej” — rzekł Janek i włożywszy duży kozuch i ciepłą szkarłatną czapkę, obwiązał szyję ciepłym szalem i ruszył w drogę.

Jakże szalała burza! Noc była taka ciemna, że Janek zaledwie mógł rozeznać drogę, a wiatr dął tak silny, że trudno było utrzymać się na nogach. Janek jednak dzielnie maszerował naprzód, a po trzygodzinnym borykaniu się z wiatrem i burzą stanął u drzwi doktora i zapukał.

„Kto tam?” — zawołał doktor wysuwając głowę przez okno.

„Janek, panie doktorze.”

„Czegoż ty chcesz, Janku?”

„Synek młynarza spadł z drabiny i mocno się potłukł, więc młynarz prosi, by pan doktor zaraz do niego przybył.”

„Dobrze!” — odparł doktor polecając osiadnąć konia i podać sobie grube obuwie. Po chwili z latarnią w ręku zszedł ze schodów i pojechał w kierunku młyna, Janek zaś biegł za nim, wśród ciemności.

Burza jednak wzmagała się z każdą chwilą, a deszcz lał strumieniami, tak że biedny Janek nie widział już, dokąd idzie, i nie mógł zdążyć za koniem. Wreszcie zupełnie zgubił drogę i zabłąkał się wśród trzęsawiska bardzo zdradliwego, pełnego głębokich dołów, gdzie też biedak utonął. Zwłoki jego zostały nazajutrz znalezione przez kilku pastuchów, którzy zobaczywszy, że coś pływa po czarnej kałuży, podeszli bliżej i, poznawszy biednego Janka, martwe jego ciało zanieśli do chałupki w ogrodzie.

Janek był ogólnie lubiany, toteż tłumy ludzi odprowadziły go na cmentarz, a na czele orszaku żałobnego kroczył młynarz.

„Byłem najlepszym jego przyjacielem — mówił młynarz — słusznie więc, bym miał najprzedniejsze miejsce w pochodzie.”

Szedł więc na czele orszaku w długim, czarnym płaszczu, od czasu do czasu wycierając sobie oczy dużą jaskrawą chustką.

„Szkoda bardzo tego biednego Janka” — mówił kowal wiejski, gdy po pogrzebie cała gromada wygodnie rozsiadła się w karczmie, gorącym winem zapijając słodkie pierniki.

„Dla mnie jest to istotnie szkoda poważna — odparł młynarz. — Miałem bowiem odstąpić mu starą taczkę, a teraz nie wiem doprawdy, co z nią począć. W domu mi tylko zawadza, a tak jest zepsuta, że nikomu nie mógłbym jej odprzedać. W przyszłości nigdy już nie będę nikomu robił podarków. Człowiek tylko cierpi z powodu swej wspaniałomyślności.”

— Co dalej? — spytał szczur wodny po dłuższej pauzie,

— Nic. To już koniec — odparła makolągwa.

— Ale co się stało z młynarzem? — spytał szczur.

— Ach! tego doprawdy nie wiem — odparła makolągwa — i wcale mnie to nawet nie obchodzi.

— Widzę z tego, że jesteś pozbawiona wszelkich życzliwych uczuć! — zauważył szczur.

— Zdaje mi się, że wcale nie podchwyciłeś morału tej historii — odcięła się makolągwa.

— Czego? — zapiszczał szczur.

— Morału.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że w historii tej tkwi jakiś morał?

— Naturalnie — potwierdziła makolągwa.

— W takim razie — wybuchnął szczur tonem bardzo rozdrażnionym — w takim razie powinnaś mnie była o tym uprzedzić, zanim zaczęłaś opowiadać. Gdybyś to była zrobiła, nie byłbym się wcale przysłuchiwał, lecz z góry byłbym ci powiedział: phi! tak samo jak ów łysy krytyk w błękitnych okularach. Na szczęście mogę to jeszcze powiedzieć teraz. — I szczur najcieńszym swym głosem pisnął: phi! zakręcił ogonem i na powrót uciekł do swej dziury.

— Jakże ci się podobał szczur wodny? — zagadnęła kaczka, w parę minut później podpływając ku brzegowi. — Niewątpliwie posiada on pewne zalety, ale co do mnie, to mam tak silne instynkty macierzyńskie, że nie mogę się powstrzymać od łez na widok zatwardziałego starego kawalera.

— Boję się, że go znudziłam — odparła makolągwa. — Bo fakt jest, że opowiedziałam mu historię z morałem.

— Ach! To eksperyment zawsze wielce niebezpieczny — rzekła kaczka.

Zgadzam się z nią w zupełności.

Przygotowano na podstawie bookini.pl